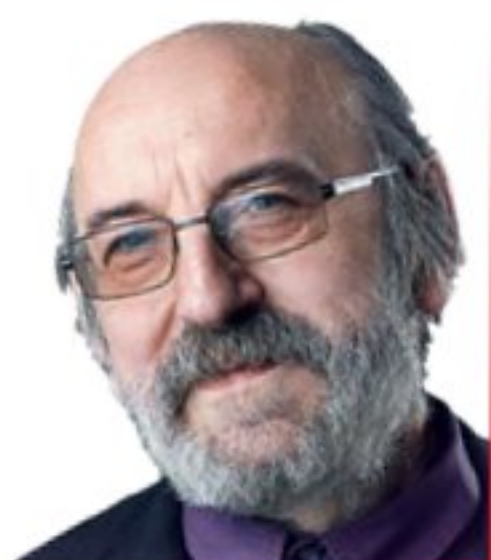




KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zapiski panny Czaczkes

Szósty tom „Dzienników” Agnieszki Osieckiej zamyka tę niezwykłą edycję, rzadko bowiem się zdarza, by publikowano zapiski nastoletnich autorów; zapiski z naturalnych powodów w dużej mierze infantylne, egzaltowane, nie za mądre. A nawet niekoniecznie szczere, jak dzienniki te po latach oceniała sama autorka. Czegóż jednak wymagać od diarystki, która uznała, że powinna zapisywać swoje życie w wieku 13 lat?

W kolejnych tomach wi- dzieliśmy jednak, jak autorka „Dzienników” dojrzewa, zmienia się ta osobista proza, gęstnieje, nabiera rumieńców i głębszego sensu. Aż dochodzi do okresu popaździernikowego i, chyba najważniejszego, roku 1970, gdy Osiecka powróciła do prowadzenia dziennika, poniechanego 12 lat wcześniej. Charakterystyczne, że uczyniła to w trakcie dłuższego pobytu w Anglii, a potem na Balearach. Z dala lepiej widać? Być może.

Agata Passent, córka pisarki, w krótkim wstępie poprzedzającym ostatni tom „Dzienników” zauważa, jak w opisywanym przez matkę czasie rzuca się ona – niemal jednocześnie – w teatr i film, przyjaźń i koleżeństwo, arystokrację, podróże, miłość i samotność. „Czytając – powiada – trudno zliczyć role, w których postanowiła się sprawdzić. Jej tempo i ambicja powodują u czytelnika poczucie utraty tchu”.

O swoich kolegach, pisarzach i artystach wyrażała się Agnieszka Osiecka z podziwem, ale i nie szczędziła im, jakże często należnych, złośliwości. Opowiada np., jak latem 1955 r., po powrocie z ukochanego Kraju Rad, pijany Wiktor Woroszyński „bełkotał jakieś niedorzeczności, mówił coś o samobójstwie i powiedział wreszcie: »Nigdy nie



FOT. NAC

przypuszczałem, że będę musiał nienawidzić Stalina». Albo taka krótka charakterystyka Ireneusza Iredyńskiego: „Kretyn, który świadomie stosuje własną paranoidalność”. Czy prezentacja relacji między Witoldem Dąbrowskim a Grzegorzem Lasotą: „Witold, i nie tylko on zresztą, twierdził, że Grzegorz miał splamione ręce jakimiś ubowskimi machlojkami. Ale przecież Witold był na tej samej drodze.

Grzegorz »kończył« odchylających się »od linii« pisarzy. Witold robiłby to samo, gdyby tylko mógł.

Nie pojmowałam istoty konfliktu między nimi. Zaczęli sobie robić drobne świństwa, przemówili się ostro na zebraniu partyjnym w związku.

Grzegorz czuł się podle. Dużo pił. Szukał i nie mógł znaleźć dziewczyny.

Witold nazywał go szmatą i pijanego, płaczącego wyrzucał w nocy od siebie z pokoju.

Witold był z siebie dumny, chronił w ten sposób swojej czystości [!]. W moich oczach wyglądało to na podłość”.

Oddzielny zeszyt zatytułowany „Kikimora” został wypełniony w ciągu niecałego miesiąca w 1958 r., a ma on swojego jednego bohatera – Jerzego Gie-

droycia. To bardzo ważna i piękna część „Dziennika”. Podobnie jak późniejsze, powracające nawet z pewnym natręctwem wspomnienia o Marku Hłasce. Trudno się zgodzić z Agatą Passent, która po lekturze zapisków rodzicielki doszła do wniosku, że „więcej miejsca poświęca ocenie prozy i nieudanych według niej (i Marka!) filmów Forda i Hasa niż »herzklekotom« wokół ich romansu. Miejscami miałam wrażenie, że w Marku Hłasce najbardziej Agnieszce podoba się mama, pani Maria Hłasko”. No nie.

„Oboje graliśmy w jakimś spektaklu, ale chyba nie w tym samym. Agnieszka i Marek, Marek i Agnieszka – coś nam w tym pięknie pachniało, ale co – Bóg raczy wiedzieć. Jakies symbole?”

Ja byłam dla niego panna Czaczkes, komiczna trochę niewinność (»Ty zawsze masz czarną aksamitkę na szyi, nawet kiedy jesteś nago«), panienka z dobrego domu, śmiesznota z »Bluszczu«, flirt z dziewiętnastym wiekiem. (Wcale taka nie byłam, ale w takiej roli mnie obsadził w swojej sztuce). Potrzeba mu było prostych symboli: ołtarzyków, kwiecia polnego, psów – ot, takich poczciwości – żeby je kontrastować z czarnym gnojem, który opisywał, z tymi krzywdami, które sobie ludzie u niego robią, z tą biedą powszedniego dnia, z tą plugawą nudą, która chwyta i dusi jego niedopitych bohaterów.

A dla mnie – to był proletariacki książę z bajki, syberyjski kowboj, wielki pisarz, legenda na dwóch łapach. Ktoś, kto był inny niż wszyscy [...]”. I nieprzypadkowo to, z czego czyniono zarzut Hłasce, że na emigracji niczego nie dokonał i właściwie zdeklasaował się, postrzega jako atut. W końcu to on pozostał wierny sobie, Agnieszce, swojemu pokoleniu. Było za co go kochać. ©©



★★★★★

AGNIESZKA
OSIECKA
„DZIENNIKI
1956–1958 I 1970”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA,
WARSZAWA 2021